

Bartek Bernabiuk

## OBRONCY HURAGANDY

Tajemnice świata turystyki

### WSTĘP

Na biurku brzęczy telefon.

- Biuro podróży, dzień dobry.
  - Chciałem zamówić wylot do Huragandy, na cztery osoby.
  - Przepraszam, a co to jest Huraganda?
  - Znajomi byli, mówili, że jest fajnie, tydzień za 750 złotych, więc chcielibyśmy całą rodziną...
  - Dobrze, ale gdzie się to miejsce znajduje?
  - No, nie wie pani? Taki kurort koło Grecji.
  - Może chodzi o Hurghadę, w Egipcie?
- Chwila ciszy w słuchawce, konsultacje trwają z minutę.
- Zgadza się, Huraganda, w Egipcie... Ol intensiw, 750 złotych, dla czterech osób poproszę!

Tata zakupił zatem wyjazd wakacyjny i niebawem cała familia ruszy w wymarzoną podróż. Dzięki wcześniejszej relacji znajomych dzieciaki mają najróżniejsze wyobrażenia o tym, jak będą wyglądać ich wakacje. Cóż z tego, skoro rzeczywistość okaże się drastycznie inna niż obrazy, które jawią się teraz w głowach członków szczęśliwej rodziny. Ekspedycja nie jest jednak skazana na niepowodzenie. Szczęściem dla naszych bohaterów, u wrót zbudowanej z wyobrażeń i powszechnych przekonań mitycznej krainy stoi armia jej

obrońców. Osiem procent ludzi pracujących na wszystkich kontynentach, na niezliczonych, zagubionych na oceanach wyspach, jest zatrudnionych w turystyce. To oni nieustannie robią wszystko, co w ich mocy, by wyśnione przez ich klientów Huragandy istniały naprawdę.

Od ponad dwudziestu lat jestem jednym z milionów obrońców wymagowanego turystycznego raj. Przez dwa dziesięciolecia opracowywałem programy, planowałem trasy, wyszukiwałem ciekawe miejsca i przeżywałem z moimi podopiecznymi najsmakowitsze przygody w ponad siedemdziesięciu krajach, w miejscach znanych wszystkim, jak Hurghada, Nowy Jork, Bali, Seszele czy Tajlandia, ale również w okolicach tak pięknych jak polskie Mazury i tak ekscytujących jak stolica naszego kraju, Warszawa... Bywałem też w różnych zakamarkach świata, gdzie przyjezdnych wita się z wielką serdecznością, jak oczekiwanych gości, w miejscach trudnych do odnalezienia na mapach.

Czytelników tej książki, zarówno wytrawnych turystów, jak i tych, którzy do tej pory zwiedzali świat jedynie w wyobraźni, chcę zaprosić w podróż zupełnie odmienną – do zwiedzania fabryki marzeń od środka, do zajrzenia za jej kulisy, podpatrzenia pracy i życia codziennego pilotów, przewodników, hotelowych menedżerów i chłopców na posyłki, stewardess linii lotniczych i kierowców autobusów, kucharzy i kelnerów...

Z wielkiego sentymentu do takich postaci, a także chęci podzielenia się własnymi doświadczeniami rozpoczynam od zaprezentowania osoby stojącej w pewien sposób w rozkroku między turystą a turystyką, od tłumacza i opiekuna najlepiej rozumiejącego oba światy i próbującego je scalać. Najlepszym przewodnikiem, który wprowadzi Was tajemnym przejściem do tętniącego życiem serca Huragandy, jest pilot wycieczek zagranicznych.

Przed wiekami, nawet przed dwoma lub trzema, ludzie wyprawiali się w dalekie podróże, nie wiedząc zbyt wiele o świecie. Informacje o smokach i potworach z dalekich krain, które udało im się przed wielką wyprawą zgromadzić, nie były do końca pewne. Niezwykle pomocny w takich sytuacjach okazywał się kurier, w Londynie zwany *cicerone*.

Ten obrotny gość pomagał zorganizować podróż, dopilnował załadunku bagażu, którego transport był wówczas największym wyzwaniem, wiedział też, co warto zwiedzić, w której karczmie można smacznie zjeść, gdzie zrobić zakupy. Mimo że z czasem ludzie coraz swobodniej poruszali się po świecie, instytucja osoby wspierającej podróżników przetrwała. Ba, z czasem *cicerone* ewoluował do pilota wycieczek i miał się coraz lepiej.

Dziś w wielu przypadkach zawód pilota wycieczek jest sposobem na życie. Nawet na całe życie! W innych – jedynie pierwszą pracą, byle się zaczepić. Bywa też sezonowym wybrykiem, chwilową zachcianką, czy też sposobem na podróżowanie po świecie bez ponoszenia kosztów.

Coraz częściej na trasach pojawiają się też piloci konwertyci. Umęczeni i znudzeni harówką w korporacjach ludzie postanawiają zmienić swoje życie i robić „coś ciekawego”. Hmm... Może się wydać zastanawiające, gdy nagle ktoś, kto jeszcze niedawno mógł sobie zafundować wyprawę w dowolne miejsce na globie, skazuje się w imię wolności i niezależności, w dodatku początkowo za niewielkie pieniądze, na mozolną wędrówkę przez świat, ciągnąc za sobą nieprzewidywalnych, często trudnych we współżyciu i wymagających turystów. Bliscy i znajomi odbierają pomysł takiego osobnika jako pierwszy sygnał, że „coś jest z nim nie tak”. Wkrótce delikwent ma okazję sprawdzić, jak w praktyce działają bliskie związki na odległość. Przychodzi też czas znikania przyjaciół, których coraz rzadziej się widuje i których sposób na życie coraz mniej pasuje do naszego ktosia. Wspólne rytuały ulegają degradacji i odchodzą w zapomnienie. Telefon zazwyczaj nie pomaga w podtrzymaniu kontaktów, bo zwykle jest się poza zasięgiem. Próby wyhamowania, zwiększenia odstępów

między wyjazdami, niczego nie odbudowują. Okazują się jedynie trudną do zniesienia męką.

Powiało z lekka grozą? Czy to znaczy, że nie ma szczęśliwych pilotów? Otóż, piloci z reguły są szczęśliwymi ludźmi, ostrzeżenie na wstępie jest jednak konieczne, by zdać sobie sprawę, z czym w dłuższej perspektywie wiąże się uprawianie tej profesji. Nieustanne i długotrwałe wyjazdy utrudniają funkcjonowanie jednostki w społeczeństwie i zauważalnie zużywają jej organizm. Z czasem coraz trudniej utrzymać związek, zaplanować życie, robić cokolwiek regularnie. Regularnie to pilot pilotuje, jest w trasie i od tego stanu zwykle się uzależnia. Znam profesjonalistów, którzy w ciągu roku spędzają w podróży ponad trzysta dni. Zdarza się, znam i taki przypadek, że na przepakowanie się między Tajlandią a Brazylią kolega miał cztery godziny.

Jeszcze całkiem niedawno pilot wycieczek, podobnie jak pilot samolotu, musiał być fachowcem z licencją. Dokument zdobywał po rzetelnym kursie i wymagających egzaminach. Jednakże politycy, a więc osobnicy przez nas wybrani i działający dla naszego dobra, zdecydowali o konieczności uwolnienia licznych zawodów cechowych, których wykonawcy obarczeni byli do tej pory obowiązkiem posiadania stosownych papierów. Między innymi pilotów wycieczek i przewodników miejskich.

Dzisiaj pilot, a właściwie pełniący jego rolę osobnik, może nie mieć pojęcia o historii, kulturze, polityce czy prawie... Nawet o geografii nie musi wiedzieć wiele, bo przecież GPS, komunikując się z siecią satelitów, poprowadzi go w najodleglejsze zakątki świata.

Czy możemy takiemu komuś zaufać, że świadomie i bezpiecznie poprowadzi nas przez świat? Kto mu przekaże niezbędne na szlaku informacje praktyczne, jeśli nie uczynią tego doświadczeni wykładowcy? Gdzie ma się nauczyć zasad odpraw na lotniskach całego świata? Od kogo się dowie, co zrobić na granicy, gdy uczestnik wyprawy zgubi paszport? – to tylko pierwsze z brzegu przykłady.

Z jednej strony, rzetelne szkolenie zawodowe jest, moim zdaniem, cenne i przydatne. Z drugiej – nawet na najlepszym kursie nikt nie nauczy nas języków, nie rozwinię sztuki psychologicznego rozpracowywania grupy czy też nie wyrobi w nas odporności na stres.

Po pobraniu nauk pilot musi rozpocząć karierę od „rozpoznania bojem”, czyli przekonać się na własnej skórze, jak ważną sprawą podczas wycieczki autokarem jest pojemność pokładowej toalety i zaplanowanie odpowiednio częstych przystanków na siusiu. Szczególnie wówczas, gdy grupa jest bogato zaopatrzona w produkty monopolowe, a tym samym moczopędne. Pilot nie będzie wiedział, aż się sam przekona, że strategicznymi punktami programu, usytuowanymi w kolejności tuż za toaletą, są sklepiki z pamiątkami. Wagę tych zjawisk pozna dopiero wtedy, kiedy będzie próbował odlepić od straganu negocjującą cenę świecidełka turystkę lub uniknąć trzeciego w ciągu godziny przystanku na zwiedzanie WC. Z czasem nauczy się postępowania w krytycznych sytuacjach, jak przetrwać „gniew ludu” i zapanować nad sobą, a po pewnym czasie być może także nad grupą.

Egzamin, który zdawałem na zakończenie kursu pilotów, weryfikował wiedzę, ale nie umiejętności interpersonalne. Sprawdzał zdolność logicznego myślenia czy talent opowiadania historii, ale z pewnością nie mógł zagwarantować, że adept dobrze sprawdzi się w pracy z żywą materią.

Aby uciąć ryzykowne dywagacje – praca pilota wycieczek jest bardzo odpowiedzialna, i źle się dzieje, że dziś zamiast zawodowca można wysłać na szlak szwagra, który ma gadane i przy okazji chciałby poznać świat. Może nie zrobi tak nierozsądnego kroku renomowane biuro, ale nie wszystkie są renomowane, a odwołanie wycieczki z powodu braku personelu to niepowetowana strata. Tymczasem turysta nasz pan i oczekuje usług profesjonalisty, który o niego zadba i nie dopuści do kłopotów, a jeśli takowe już się przytrafią, to natychmiast je rozwiąże. A przy tym przekaże mu w sposób rzetelny historię odwiedzanych miejsc, co turysta potrafi znakomicie

zweryfikować z przewodnikiem w rękę. Doświadczony zawodowiec załatwi sto spraw, przy których amator polegnie marnie. Niezależnie od tych teorii czas prawdy przychodzi, gdy pilot na czele grupy turystów wyrusza w świat.

Na starcie łąsy na wyjazdy nowicjusz może otrzymać fantastyczną ofertę pracy na „wahadle”. Do wyboru Chorwacja, Hiszpania, Grecja. Łapie, co mu się wydaje najlepsze, wsiada do autokaru i jedzie. Po dwóch dobach dociera z grupą do pięknego, tonącego w słońcu kraju. Wokół zniewalające krajobrazy, tysiącletnie zabytki... Niestety, pilot obsługujący „wahadło” czasem z tego autokaru nawet nie wychodzi, bo ledwie pasażerowie opuszczą pokład, już musi wracać do kraju z grupą, która właśnie zakończyła tam rajskie wakacje.

Praca marzeń? Podróże zagraniczne? Poszerzanie horyzontów? Być może spędził w drodze, a konkretnie w autokarze, kilka dni i przywiózł do domu całe trzysta złotych plus diety i to pod warunkiem, że nie wydał kasy na pamiątki, bo przecież z wyjazdu za granicę trzeba coś przywieźć rodzinie i przyjaciołom. Może uda mu się znaleźć jakieś prezenty na stacji benzynowej, bo to jedyny sklep, jaki odwiedzi.

Wahadła z punktu widzenia możliwości pracy pilota stanowią raczej monotonną opcję. Cóż, na początek najłatwiej dostać taką właśnie pracę. Lepiej ją więc potraktować jako test cierpliwości i wykorzystać do zdobycia doświadczenia, często niezbędnego do wykonania kolejnego kroku.

Kariera pilota rzadko kończy się na wahadłach, a możliwości rozwoju są niezwykle szerokie<sup>1</sup>. Dalsza droga zależy między innymi od osobowości, umiejętności sprzedania się w biurach, wytrzymałości psychicznej i znajomości języków. Można pracować z grupami przyjazdowymi we własnym kraju, jeździć na objazdówki<sup>2</sup>, pracować z dziećmi czy emerytami. Można też pójść w stronę pracy rezydenta (oddzielne kursy) i obsługiwać w którymś z rajów

---

<sup>1</sup> Możliwości, jakie daje praca pilota, opisuję w dalszej części książki.

<sup>2</sup> Objazdówka – program imprezy turystycznej podczas którego uczestnicy zmieniają miejsce pobytu, w tym także noclegu, w przeciwieństwie do imprezy pobytowej.

wyjazdy pobytowe, a nawet wysokobudżetowe wyjazdy incentive dla pracowników korporacji.

Gdzieś to się wszystko jednak musi zacząć, jakimś impulsem, błyskiem iskry bożej lub, jak w moim przypadku, już w dzieciństwie znalezieniem się w sytuacji niepozostawiającej wyboru.

## CZĘŚĆ I

### **PILOT WYCIECZEK BEZGRANICZNYCH**

#### Rozdział 1

##### **Ekstremalne dzieciństwo**

Geografią interesowałem się od najmłodszych lat, zaś „Huragandę” znalazłbym na mapie z zamkniętymi oczami. Gdy z końcem liceum podjąłem pracę jako pilot, miałem już znaczne, różnorodne i co warto zaznaczyć dość niekonwencjonalne doświadczenie zdobyte w świecie podróży i przygody. Spotykałem niejednokrotnie na swej drodze osobników dość nieudolnie szukających zaczepienia w branży turystycznej, rozżalonych i zgorzkniałych, bo nikt nie chciał ich przygarnąć, mimo że wymachiwali kwitami świadczącymi o ukończeniu adekwatnego do profesji kierunku studiów: „Marzę o tej pracy niemal od urodzenia, co mam robić?”. Wielu młodych ludzi traktuje zawód pilota jako dający możliwość zwiedzenia świata. Kiedyś brakowało pilotów i większe było prawdopodobieństwo że biuro wyśle kompletnego laika. Dziś konkurencja jest spora. Większe szanse na zatrudnienie ma ten, kto sam wcześniej przetarł szlaki i te doświadczenia może wykorzystać do prowadzenia innych.

Twierdzenie, że podróżowanie i pilotowanie wycieczek wyssałem z mlekiem matki, byłoby lekką przesadą. Niewielką jednak, gdyż debiutowałem na etapie

przedszkola, dokładnie już na przedostatnim roku starszaków uczestniczyłem w różnych eventach, na które zabierał mnie tata dziennikarz. Całkiem z bliska obserwowałem ćwiczenia kompanii czołgów, wystrzeliwanie rakiet taktycznych, szarże uzbrojonych śmigłowców i desanty spadochronowe.

Nieco później, jako dziewięciolatek, regularnie strzelałem z kałacha, a zamiast oglądania sali krzywych luster w wesołym miasteczku pokonywałem tak zwanego psychola, czyli tor przeszkód przeznaczony dla żołnierzy jednostek specjalnych. Gdy rówieśnicy uczestniczyli w piknikach prowadzonych przez animatorów przebranych za postaci z kreskówek, moim ulubionym teatrem była symulacja operacji specjalnych, z nieodłącznym elementem podrzynania gardła zaskoczonemu wartownikowi.

Jedyną słabością takich eventów przygotowujących naszą armię do odparcia przeciwnika, w razie gdyby nadciągnął, była niemożność pochwalenia się przeżyciami szerszemu gronu rówieśników. W szkole i na podwórku nie wierzono w moje opowieści, więc po kolejnej porażce zamilkłem.

W dwucyfrowy okres życia wchodziłem akurat w czasie, gdy w Polsce nastała moda na survival. Pojawiła się po zmianie ustroju prawdopodobnie dlatego, że nieco wcześniej życie codzienne samo w sobie było szkołą przetrwania. Gdy stało się nieco łatwiejsze, niektórzy nadal potrzebowali udowodnić, że poradzą sobie w każdych warunkach. Celowo najpierw gubili się w lesie, by sprawdzić czy znajdą drogę do domu zanim umrą z głodu.

Tata, dziennikarz podążający za nowym nurtem, również mnie, własne dziecko, umieścił w świecie leżącym gdzieś pomiędzy krainą Hobbitów a najeżonym przygodami landem Piotrusia Pana. Spędzałem wakacje wśród zielonych ludków mieszkających w ruinach fortów Srebrnej Góry lub w poligonowym lesie, na kolację jadających ciasto z nenufarów i sałatkę z pokrzyw. Wiele survivalowych eventów było prowadzonych przez młodych, fantastycznych ludzi z pasją, uczących nas czytać mapy, budować szałas, a przede wszystkim

samodzielności. Pamiętam też sytuacje, w których instruktorzy sami próbowali przetrwać, ukrywając nielegalnie prowadzony obóz przed policją.

Podczas jednej z eskapad najwspanialszą atrakcją był zjazd na linach z mostu.

Blisko trzydzieści metrów z góry na dół, na starej linie i z użyciem przyrządów bez atestów. Na takiej wysokości robiliśmy się potulni jak baranki, zaś nasi opiekunowie szli na całego, grając między sobą w stopki. Bez jakiegokolwiek asekuracji sprawdzali, kto dalej wysunie stopy za krawędź konstrukcji.

Ponieważ bardzo nam wówczas imponowali, biorąc z nich przykład, sami wymyślaliśmy wcale nie gorsze zabawy.

Strzelaliśmy z łuków, piekliśmy podpłomyki, przebieraliśmy się za las, który był naszym domem i coraz bardziej naturalnym otoczeniem. Nie wszyscy koledzy z podwórka dzielali moją pasję. Osiedle dostarczało przecież znacznie mocniejszych wyzwań. Wystarczyło pójść na „tarchomińskie jedynki”<sup>3</sup>, by dostać w łeb zamrożoną parówką czy zginąć pod gruzami (niestety fakt) podczas eksploracji budowy. Po raz kolejny w życiu znalazłem się poza mainstreamem.

Z czasem w naszym domu w miejsce zielonych ludków prosto z lasu, którym mama już w progu odbierała maczety, zaczęli pojawiać się podróżnicy, żeglarze, nurkowie, wspinacze. Zupełnie prawdziwi, dokonujący wspaniałych wyczynów, wyjeżdżający na odległe wyprawy lub właśnie wracający z końca świata.

Roman Koperski<sup>4</sup>, przejechawszy land roverem Syberię, właśnie wybierał się z pontonikiem na spływ Leną. Krzysztof Starnawski<sup>5</sup>, ulubieniec mojej babci, za jakiś czas wraz z Leszkiem Czarneckim<sup>6</sup> pobił rekord świata w nurkowaniu jaskiniowym. Arek Pawełek<sup>7</sup> wkrótce po tym, jak go poznałem, pokonał małą

---

<sup>3</sup> Część osiedla Tarchomin oznaczona numerem 1.

<sup>4</sup> Pianista, pilot samolotowy I klasy, podróżnik specjalizujący się w wyprawach na Syberię, autor książek podróżniczych

<sup>5</sup> Ratownik TOPR, płetwonurek, rekordzista świata, zszedł na głębokość 283 metrów w nurkowaniu z użyciem obiegów zamkniętych.

<sup>6</sup> Przedsiębiorca, założyciel Getin Bank, jeden z najbogatszych Polaków, a także jeden z najlepszych płetwonurków świata, rekordzista świata w nurkowaniu jaskiniowym

<sup>7</sup> Przepłynął Atlantyk pontonem, autor książki „Cena strachu”.

szalupką Atlantyck. Nikt tu nie widział w nich szaleńców, ryzykantów, nie pytał, czy się nie boją. Wsłuchany w ich opowieści nabierałem przekonania, że to, co robią, na pewnym etapie życia jest rzeczą naturalną i zapewne konieczną. Wszyscy w naszym domu byliśmy podobnego zdania.

O mój rozwój intelektualny dbała szkoła, gdzie wkuwałem kolejne regułki. Fizycznie zaś rozwijałem się głównie na ścianie wspinaczkowej oraz na imprezach integracyjnych, nosząc tony metalowych konstrukcji. Z moich pierwszych prac przy eventach dla firm pamiętam tyle, że rozładowywałem ciężarówki pełne sprzętu lub je załadowywałem. Czasem wykonywałem jedno i drugie jednocześnie. Później, dla relaksu, całymi godzinami stałem „na punkcie”, poprawiając taśmy zrywane co chwilę przez uczestników szalejących na czterokołowych pojazdach. Największym wydarzeniem, w którym wziąłem udział, była organizacja międzynarodowych eliminacji Marlboro Adventure<sup>8</sup> w Bieszczadach, dokładnie w Arłamowie.

Jak na tamte czasy było to wielkie przedsięwzięcie. Hotel wypełniony po brzegi, pole kempingowe pełne, do tego miniwioska wybudowana specjalnie na potrzeby uczestników. Wielkie zamieszanie trwało już na wiele dni przed rozpoczęciem imprezy, podczas którego najważniejsza była walka o branding. Bo co tylko ekipa rozwiesiła na drzewach wielkie banery firmy tytoniowej, tubylcy ściągali je, aby przykrywać siano przed deszczem i potem chowali w stodole. W ramach naszej ekipy utworzono siły specjalne odpowiedzialne za zwalczanie partyzantki i ochronę banerów. Była nawet koncepcja wynajęcia miejscowych do pilnowania, zakładając, że sami siebie okradać nie będą, ale ci szybko policzyli, że to żaden interes.

Byłem tam chłopcem od wszystkiego, czyli nikim. Nikim byli też uczestnicy gry z Polski i byłych demoludów, dla których rzekomo przygotowano wszystkie

---

<sup>8</sup> Impreza promocyjna firmy Marlboro oparta o rajd terenowy samochodami.

atrakcje. I to nas łączyło. Liczyli się jedynie dyrektorzy z firmy tytoniowej, szefostwo agencji obsługującej wydarzenie i dziennikarze.

Jakoś tak tuż po rozpoczęciu ktoś uświadomił sobie, że impreza jest międzynarodowa, więc część gości będzie mówić po angielsku, w języku bardzo obcym dla większości ludzi z naszej obsługi. Dzięki jakiegokolwiek znajomości angielskiego, z nikogo w jednej chwili awansowałem na animatora, którego rolą było tłumaczenie zasad pokonywania tyrolki. Trzystumetrowa, stalowa lina zawieszona była jednym końcem na wysokości kilkudziesięciu metrów, drugim zamocowana tuż przy ziemi. Na tej linie wieszano rolkę, a na niej karabinek wczepiany do uprząży. W uprząży instalowano uczestnika, który zjeżdżał, jak Newton przykazał, z góry na dół.

Praca praktycznie trwała non stop, więc, mimo ciekawości, nie miałem okazji doświadczyć przygotowanych atrakcji. Od samego początku mojej zawodowej kariery stałem po stronie usługodawcy i w ten sposób poznawałem szerokie spektrum rozrywek, bardziej obserwując, jak reagują na nie inni, niż doświadczając ich samemu. W większości wypadków pracowałem na eventach organizowanych dla pracowników korporacji, wyobrażając sobie, jacy szczęśliwi i bogaci muszą być beneficjenci naszej harówki. Potrzebowałem czasu i kolejnych doświadczeń, by przekonać się, o ile szczęśliwszy może być gość wylądowujący ciężarówką i jak znikomą nagrodę za oddanie się bez reszty firmie stanowi możliwość spędzenia całego dnia na kręceniu się w kółko quadem, budowaniu wieży ze skrzynek po piwie czy oddaniu się wieczorem nastrojowi tańca zbiorowego. Nie przypuszczałem wówczas, że sam kiedyś wyląduję w korporacji, specjalizując się w organizacji zagranicznych eskapad dla pracowników i klientów dużych przedsiębiorstw.

## Rozdział 2

### **Bocianim szlakiem**

W tym czasie Maciek<sup>9</sup>, mój przyjaciel, po kursie pilotów, spędzał wakacje, obwożąc niemieckich emerytów po Mazurach. Na rowerach! Przekonał mnie, że warto. Co prawda językiem niemieckim posługiwałem się w stopniu nieutrudniającym komunikacji, jednak perspektywa uprawiania kolarstwa w towarzystwie niemieckich staruszków jakoś mnie nie powalała. Niemniej skusiła mnie piękna okolica, mazurska przyroda, a rower to wszak coś więcej niż nudny autobus. Wkrótce zapisałem się na szkolenie i rzetelnie pracowałem na licencję pilota wycieczek zagranicznych. No właśnie, zagranicznych... A tu zagraniczni mieli być jedynie goście.

Moim zadaniem było pokazanie zachodnim sąsiadom piękna mojego kraju. Bardzo szybko zderzyłem się wprawdzie z kontrowersją, czy aby tak do końca i na pewno Mazury są moje, czyli polskie? Szczęściem i ja, i uczestnicy wycieczek byliśmy zgodni co do tego, że są piękne. Dzięki takiemu kompromisowi turyści byli zadowoleni, a biuro przekonane, że stoję na wysokości zadania i przysyłało mi kolejne grupy.

Umiejętność prezentowania swojego kraju obcokrajowcom okazała się nie lada wyzwaniem. Jak być dumnym z pięknych miejsc i znaleźć pozytywne aspekty życia w Polsce, opowiadając o nich Kanadyjczykowi czy Szwajcarowi, nie mówiąc już o Niemcach? Pilot, który z sukcesem zaliczył to zadanie, z pewnością poradzi sobie w dowolnym miejscu na świecie.

Zaprezentowanie skrzeczącej, prowincjonalnej rzeczywistości, pogmatwanej historii i przewrotnej polityki w taki sposób, aby turysta uwierzył, że w Polsce nie zawracają jeszcze gołębie, a do restauracji nie chodzimy z własnym widelcem, było wówczas wyczynem. Zachęcenie z uśmiechem i pasją do zwiedzania kraju rozbiorów, wojen, powstań oraz narzekających, kłótliwych, ale jednocześnie bardzo gościnnych i ciepłych ludzi stanowi wyrefinowaną sztukę.

---

<sup>9</sup> Maćka najlepiej przedstawia jego tata. Podczas gdy ludzie zachwycają się, że ich dzieci chodzą do dobrych szkół czy biorą udział w zawodach, tata Maćka jest szczęśliwy, że jego syn jest zdrowy i nie marnuje życia, a przedstawia go tak: „To jest mój syn, Maciek – nie bierze, nie pije, nie pali”. Chyba każdy rodzic przyzna, że to może być powód do dumy. Dziś Maciek ma 34 lata i jest poważnym dyrektorem, a tata cały czas przedstawia go tymi samymi słowami.

Kto wie, jak pokazać naszą tożsamość i przywary, by zainteresować tym wszystkim przybysza z Zachodu, nie zniechęcając go zarazem, ten ma klucz do zaczarowania ludzi Hiszpanią, Paragwajem czy Ruandą. Postanowiłem więc przejść mazurski test na drodze prowadzącej, w co nie wątpiłem, do pracy w najodleglejszych zakątkach kuli ziemskiej.

Mazury były dla mnie nie tylko rzetelną szkołą pilotażu. W czasie kolejnych wakacji, jeżdżąc rowerem, pływając kajakiem i latając balonem z niemieckimi turystami, zarabiałem pieniądze na swoje podróże. Robota z pozoru była prosta: wsiadasz na rower i jedziesz, a za tobą kilkunastu niemieckich „dziadków”.

Wiek klientów oscylował bowiem w granicach 60–70 lat, ale zdarzali się również panowie po osiemdziesiątce, na których intensywne, siedemdziesięciokilometrowe etapy nie robiły większego wrażenia. Średnio sprawni motorycznie, ale w znakomitej kondycji i niesamowicie zawzięci, rekrutowali się z różnych sfer i środowisk, od pielęgniarek po prezesów banków, od hydraulików po profesorów fizyki. Podziwiałem ich witalność, a zarazem ogromny szacunek do świata, przez który wspólnie podróżowaliśmy. Początki mojej kariery jako pilota wycieczek były dość zaskakujące i warto się przy nich na chwilę zatrzymać. Na debiutancki tour Maciek zabrał mnie ze sobą i w kilka dni zaprezentował mi najbardziej wyrafinowane tricki swojego show. Oto dwudziestoosobowa grupa rozsiadła się w autokarze. Na pierwszy rzut oka wszyscy tacy sami, średnia wieku około siedemdziesiątki, raczej wysportowani, trochę nawet uśmiechnięci, ale bez przekonania. Jak zacząć? Co powiedzieć? Jak zareagują? Z nieśmiałości i niepewności wyrwał mnie głos Maćka:

– Witajcie! Od teraz będę do was mówić „Orły”, „Moje Orły” – zapowiedział Maciek. – OK?

– OK – odpowiedział sam sobie, patrząc prosto w dwadzieścia par, jeśli nie przerażonych, to co najmniej zaskoczonych oczu.

Nie mniej skonsternowany od naszych podopiecznych oczekiwałem riposty w postaci jakiegoś zbiorowego buntu lub chociażby pojedynczych głosów oburzenia. Zamiast tego powietrze rozdarło zgodne: – Jawohl, Herr Maciek! Co jest? Od pierwszych słów mój przyjaciel podbijał serca uczestników. Byli szczęśliwi, że dzieciak w wieku ich wnuków zapowiada się na mocnego, dającego oparcie lidera. Bo Niemcy naprawdę są wyznawcami idei: „Ordnung muss sein!”.

Maciek czuł się coraz bardziej w swoim żywiole, turyści zaś już na wstępnym etapie zdawali się przejawiać zachwyt jego osobą. O chociażby, gdy zbliżaliśmy się do mazurskiej krainy, zaaranżował kwiz na temat wagi bocianich gniazd<sup>10</sup>, prowadząc timing dokładnie tak, by po zakończonym konkursie pokazać oniemiałym turystom pierwsze bocianie gniazdo za oknem autokaru.

Od Maćka nauczyłem się, że nasza pewność siebie była dla turystów gwarancją bezpieczeństwa i dawała przekonanie, iż panujemy nad wydarzeniami. Z kolei ich doświadczenie w jeździe na rowerze nam dodawało skrzydeł. Kiedy zaczęli dopasowywać pojazdy, wyciągać kolejne gadzety kolarskie, zaniepokoiłem się, czy mam dostateczną kondycję, by utrzymać się z nimi na trasie, czy też będę zwiedzać Mazury w pojedynkę, próbując odnaleźć ślad moich podopiecznych. I tu niewiele się pomyliłem. Maciek, jeszcze całkiem niedawno trenujący kolarstwo górskie, jakimś cudem potrafił jechać jednocześnie na początku i na końcu grupy.

Mnie, po długiej przerwie w jeździe na rowerze, ledwie udawało się utrzymać w peletonie i dociągnąć do końca wycieczki. Do tego początkowo nie za bardzo wiedziałem, co zrobić, gdy w dwudziestoosobowym zespole znalazło się dwóch wyczynowców, gość po zawale, dwoje rozkapryszonych, wychowywanych metodą bezstresową dzieciaków oraz umykający nieustannie w boczne ścieżki miłośnik fotografowania... Uratowały mnie techniki, które wkrótce

---

<sup>10</sup> Podobno dochodzą nawet do 2 ton.

podpatrzyłem u innych pilotów i które pozwoliły mi ujarzmić rozciągniętego na dystansie kilku kilometrów zwariowanego węża niemieckich rowerzystów.

Technika „na zastraszanie” polegała na przedstawianiu grupie pochodzących z księżycy statystyk dotyczących wypadków na danym odcinku szosy czy historii o pobiciach niemieckich turystów przez mazurskie bandy. Aby bandy te budziły grozę, musieliśmy nadawać im odpowiednio straszne nazwy, jak na przykład Mazurska Banda Rabunkowa czy Banda Jednookiego Rzeźnika. Wizja masakry natychmiast powodowała skupienie się niedoszłych ofiar wokół pilota i tymczasowy spokój.

Mniej radykalnym, ale równie skutecznym sposobem utrzymania ludzi razem była technika „na ciekawostki”. Polegała na przekonaniu grupy ucieczkowej, że w kościele, który ukaże się po prawej stronie za pięć kilometrów, znajduje się jedyny w swoim rodzaju ołtarz słynnego artysty światowej sławy (prawie) oraz wspaniałe XVIII-wieczne organy. Najlepszy efekt zyskania na czasie następował wówczas, kiedy kościół był zamknięty i czoło peletonu musiało czekać, aż pilot znajdzie wioskowego księdza i zdobędzie klucz. Ksiądz wiedział, że pilot najlepiej potrafi zbierać od grupy datki, więc udawał, że go nie ma, i dopiero na widok pilota dojeżdżającego wraz z peletonem w magiczny sposób pojawiał się wraz z kluczem. Taka niepisana umowa. Gdyby tak proste metody nie działały, musielibyśmy zapewne wiązać rowery łańcuchami, żeby uczestnicy się nie rozjechali po całej Krainie Tysiąca Jezior.

Niemiecki siedemdziesięcioletnik zwiedzający rowerem Mazury z pewnością nie jest znużonym życiem starcem. Grupy tętniły życiem – tańce i śpiewy, tudzież przeróżne gry i zabawy, wszystko to tworzyło wspaniałą atmosferę. Ludzie łatwo się zaprzyjaźniali, budując zespoły, którymi można było bez większych trudności zarządzać. Byli wymagający, ale umieli też cieszyć się pięknem świata.

Niezlomni i wytrzymali, na rowerach jeździli z zacięciem, mimo iż niejednokrotnie pokonywaliśmy nawet siedemdziesięciokilometrowe trasy, przedzierając się przez mazurskie piachy i pagórki. Sporadycznie trafiał się maruder lub hipochondryk, czasem nawet prawdziwy zawałowiec, ale jeśli utrzymywałem odpowiednie tempo, peleton mniej więcej w całości docierał na linię mety. Uczestnicy z bypassami zazwyczaj byli przezorni i mieli zamontowany głośny alarm, ostrzegający, gdy serce zbyt szybko pracowało. Byłem już wyczulony na ten dźwięk – natychmiast się zatrzymywałem i cała grupa drałowała na piechotę, by dać bohaterowi odetchnąć. Po wyrównaniu tętna wskakiwaliśmy z powrotem na siodła, i heja! Oprócz ludzi na baterie używaliśmy również rowerów na baterie, umożliwiających najsłabszym bądź schorowanym podążać z grupą. Należało jedynie pamiętać o naładowaniu wieczorem akumulatorów, żeby schorowany osiemdziesięciolatek nie stanął gdzieś pośród jaskrawożółtych pól rzepaku, bez szans na kontynuację podróży. Wiek kalendarzowy w żaden sposób nie określał możliwości moich podopiecznych – byli wysportowani, silni, zadowoleni, ciekawi świata. Uczyli się języków, studiowali na uniwersytetach trzeciego wieku, mieli wiele pasji i wspaniałych planów z których Bóg z pewnością miał niezły ubaw. Wielu z nich rok w rok uczestniczyło w podobnych wyjazdach rowerowych. Chodzili także po górach, odbywali wielotygodniowe spływy kajakowe. Choć wytrzymałości można było pozazdrościć, to naturalnie czasem brakowało moim gościom „pary” na podjazdach. Świadomi swoich możliwości, po prostu jechali wolniej. Kłopotem byli zawodnicy przeceniający swoje siły lub lekceważący legendy o trudności mazurskich szlaków rowerowych. Ci, po przekroczeniu własnych granic strzelali fochy i odgrywali sceny złości, nie rzadko demolując rowery, które były ich jedyną szansą na powrót do hotelu przed zmrokiem. W każdej sytuacji, kiedy moi podopieczni zostawali wytrąceni z równowagi, okazywało się, że prawdziwym sprawcą ich nieszczęść, odpowiedzialnym za całe zło świata, jestem oczywiście ja.

Nauczyłem się, że złe jedzenie, krzywe koła w rowerze, zbyt grząski grunt, wszelkie nierówności terenu, a przede wszystkim niespodziewane opady deszczu są wyłączną winą pilota, który źle zaplanował trasę i pogodę. Aby uniknąć linczu, musiałem zawczasu wybić z rąk grupy wszystkie niekorzystne dla mnie argumenty. Kiedy mieliśmy zjechać w leśną drogę, na której połowa będzie pchać rowery ze względu na grząski piach, tłumaczyłem z przekonaniem, że zazwyczaj grupy jeżdżą tym okropnym asfaltem pełnym pijanych mazurskich kierowców. Tymczasem ja moich specjalnych gości poprowadzę znacznie bezpieczniejszą, piękną leśną przecinką, na której będą mogli co jakiś czas zsiąść (lub spaść) z roweru i podziwiać w spokoju dzikie mazurskie lasy. Po to przecież tu przyjechali. Kiedy zapowiadało się kilka kilometrów między TIRami, przekonywałem wszystkich, że wybieram ten odcinek by uniknąć alternatywnej trasy, słynnej z ruchomych piasków, które pochłonęły już niejedną niemiecką grupę rowerową. Nauczyłem się także zalecania gościom zabierania jednocześnie kremów do opalania i kurtek przeciwdeszczowych, bo – jak twierdziłem każdego dnia – będzie upalne słońce, a przy tym ulewny deszcz. Grupa się dziwiła, ale z pilotem w takich sprawach się nie dyskutuje.

Ogromnie ważne było odpowiednie przygotowanie uczestników na nadchodzące wydarzenia, a po przetworzenie traumatycznej jazdy przez bagna wśród ulewy i piorunów, na radosne wspomnienie pięknej mazurskiej tęczy wskazującej drogę zmęczonym wędrowcom. Jeśli pamiętali tęczę, otrzymywałem lepsze oceny w ankietach.

Podczas długich rozmów z moimi gośćmi poznałem wiele najróżniejszych historii. Czasem niełatwo było ich słuchać, zwłaszcza gdy opowiadali je byli żołnierze Wehrmachtu czy bardziej wyspecjalizowanych jednostek niemieckiej armii. Zdarzało mi się gawędzić przy winie z byłymi pilotami Luftwaffe, którzy podczas Powstania Warszawskiego bombardowali Warszawę. Być może

również z tym, który zrzucił bombę na budynek przy ulicy Hożej, gdzie pod gruzami zginęła niemalże cała rodzina mojej babci. Ona sama cudem wydostała się z gruzów i dzięki temu jestem na tym świecie.

Nie unikaliśmy trudnych rozmów. Niemcy swą mroczną przeszłość przetrwali już wiele razy i potrafili rozmawiać o swoich rodzicach służących w SS<sup>11</sup>, o wysiedleniach z Prus Wschodnich, o prześladowaniach i kilkudziesięciu latach pod pręgierzem czarnych chmur historii. Była w nich przede wszystkim pokora, rzadziej chęć zemsty i odzyskania Mazur. Co ciekawe, takie pomysły najczęściej przychodziły do głowy gościom z Austrii lub Szwajcarii. Niemcy, nawet jeśli byli podobnego zdania, nie odważali się go wypowiadać publicznie. Z czasem zacząłem unikać ciężkich tematów, bo już sam byłem nimi zmęczony. Wolałem rozweselać grupę i dobrze bawić się w jej towarzystwie.

Wędrowałem razem z niemieckimi turystami przez niemalże dziewicze Mazury, biedne, wiejskie, przez świat lśniących w słońcu jezior, cienistych lasów, malowniczych pejzaży i kelnerek w krótkich spódniczkach. Na pokonywanej trasie metropoliami były Mikołajki i Kętrzyn – światowe, ludne, jakby niepasujące do reszty krajobrazu. Spędzając czas blisko natury, w towarzystwie interesujących ludzi, sam się uczyłem, sam odkrywałem własny kraj i próbowałem go rozumieć.

Jeszcze na początku zapytałem Maćka, o co mogą mnie pytać turyści.

Odpowiedział, że o wszystko, absolutnie o wszystko. Pogłębiałem więc historię, geografię, wyszukiwałem ciekawe statystyki gospodarcze i społeczne.

Dowiadywałem się, co i kiedy rośnie na polach, z czego i w jakim okresie pszczoły robią miód oraz jakie są zwyczaje godowe łabędzi. Powoli osiągałem w nowym fachu mistrzostwo. Gdy zatrzymaliśmy się z grupą koło rezerwatu Łuknajno, czekając na maruderów, mówiłem na przykład: „Za chwilę dojedzie do nas Hans i zapyta, ile na tym jeziorze mieszka łabędzi”. Po czym Hans podjeżdżał i oczywiście pytał o te łabędzie, ku uciesze wycieczki. A mnie się to

---

<sup>11</sup> Schutzstaffel – paramilitarna organizacja Adolfa Hitlera.

wydawało oczywiste, bo o co niby Hans miał zapytać? W tym miejscu zawsze ktoś pytał o łabędzie.

Moi niemieccy goście byli absolutnie punktualni i przerażająco szczegółowi. Każdego ranka przed wyruszeniem w trasę podawałem jej długość w kilometrach i dokładny czas przejazdu w minutach. Zazwyczaj ani jedno, ani drugie się nie zgadzało, ale byłem przekonujący i to się liczyło. A jak komuś nie pasowały kilometry z licznikiem, to dowiadywał się, że jeździmy według „mazurskich kilometrów”. I nigdy się nie dowiedział, jak się ma kilometr mazurski do niemieckiego.

Cieszyła ich aktywność, ale zdarzały się grupy, które swoją nadaktywnością zaprzeczały wszelkim statystykom. Właśnie tacy ludzie przyjechali ze Szwajcarii. Średnia wieku standardowa, siedemdziesiąt pięć lat. Problem w tym, że zespół składał się z nawiedzonych pływaków. Musieli się wymoczyć w każdym napotkanym jeziorze na szlaku Tysiąca Jezior. Rowery były im potrzebne tylko jako środek transportu od jeziora do jeziora. A jak już takowe znaleźli, włązili do wody i odpływali w nieznane.

Mniej więcej po godzinie, gdy gwałtownie zaczynałem wykręcać wszystkie trzycyfrowe numery telefoniczne, pojawiali się na horyzoncie i ze spokojem, gawędząc przy tym w najlepsze, dopływali do brzegu odkrytą żabką. Po czym meldowali gotowość pokonania kolejnych kilometrów rowerami do...

następnego jeziora. Wiezorami, przy ognisku, śpiewali i tańczyli do północy, a już o siódmej rano, jeszcze przed śniadankiem, potrafili się zerwać, by popływać w jakimś jeziorku. Trudno sobie wyobrazić w takich sytuacjach stres i zdziwienie pilota! Obawiałem się tylko, że przecenią swoje możliwości.

Wreszcie dotarło do mnie, że prowadzę zespół ludzi dorosłych, o wielkim życiowym doświadczeniu. A że są zakręceni? No cóż, przecież są na wakacjach!!! Z czasem nauczyłem się odpuszczać, ale nigdy nie traciłem czujności.

Trafiła mi się w grupie trójka profesorów z Hamburga. Jeden z nich, z wyglądu skrzyżowanie Koszałka Opałka z Jożinem z Bażin, był fizykiem, naukowcem światowej rangi. Od świtu do zmierzchu chodził w kółko i coś liczył, skrupulatnie robiąc notatki. Nie wiem, czy poprawiał Einsteina, czy Oppenheimera, ale w podjęciu decyzji, czy na śniadanie wypić kawę, czy herbatę, wspierał się zasadą nieoznaczoności. Z tego, co zrozumiałem, zajmował się budowaniem modeli trygonometrycznych do prognozy rozwoju flory w oceanach. Sprawiał wrażenie niezwykle poważnego i oddanego nauce myśliciela. Pewnego dnia jechaliśmy gęsiego w grupie, wszyscy równiutko. Nagle wyprzedził nas mały peleton zawodowców. Młodzi sportowcy na profesjonalnym sprzęcie tylko koło nas śmignęli. Spojrzałem za nimi. Ostatni w grupie jakoś dziwnie się kołysał... Patrzę uważniej, a to nasz profesor na chwilę przestał liczyć i w desperackim akcie, z pełną świadomością swoich czynów dołączył do ostatniego zawodnika obcego peletonu. Kolarze patrzyli po sobie, a ten ciągnął tak z nimi z kilometr. Po tym wyczynie dochodził do siebie cały wieczór.

Kiedy już poznałem poziom nieprzewidywalności moich podopiecznych, sam postanowiłem wprowadzać ich na wyższy poziom abstrakcji. Zaproponowałem grę terenową, którą znałem jeszcze z czasów szkoły średniej. W Mikołajkach – sam nie wierząc, że dadzą się wkręcić – podzieliłem ich na grupy rywalizujące ze sobą w zdobywaniu informacji na temat lokalnego życia. Musieli kupować ryby na targu, złożyć wizytę burmistrzowi, podając się za oficjalną delegację rządową (w spodenkach kolarskich), policzyć dzieci w szkole podczas lekcji i łódki na przystani oraz wytargować cenę za największy bursztyn w mieście. Największy ubaw był z tym bursztynem. Grup było kilka, więc właścicielka sklepu z biżuterią szalała, kiedy ostatnia z nich, ubrana w sportowe ciuchy, przyszła targować największy i najdroższy kamień w kolekcji. A kiedy już zbili cenę do granic możliwości, poszli sobie w diabły, tak jak ich poprzednicy. Nasi

gospodarze, u których mieszkaliśmy, dobrze znali właścicielkę sklepu i przekazywali mi bezpośrednio jej błogosławieństwa, kiedy dowiedziała się, że to ja jestem sprawcą zamieszania. W tym samym czasie Niemcy bawili się cudownie. Tę historię długi czas jeszcze wspomniano w Mikołajkach.

W ostatnich sezonach moich mazurskich wojaży włączyłem do programu zwyczaj kończenia wyprawy rowerowej... podniebną podróżą balonem. Baloniarz Darek, nasz pilot, był bardzo zdeterminowany, by latać niezależnie od warunków atmosferycznych i nie zawsze miałem pewność, czy jest odpowiednia pogoda i można bezpiecznie wznieść się w powietrze? Z czasem poziom ryzyka nauczyłem się oceniać po twarzy Darka. Miał taką jedną minę, która wskazywała na to, że jest w stanie wystartować, ale ma spore wątpliwości co do powrotu na ziemię. Jak to w baloniarstwie, lądowaliśmy zazwyczaj tam, gdzie nas wiatr zapędził, na drzewach, w krzakach bądź na polach uprawnych. Niejednokrotnie miałem serce w gardle, gdy zbyt zdecydowanie zbliżaliśmy się do rosyjskiej granicy lub po lądowaniu w zbożu podejmowaliśmy delegację miejscowych gospodarzy wyposażonych w podręczny sprzęt rolniczy. Szybka rzutka na flaszkę była sposobem na ocalenie jeśli nie własnej skóry, to przynajmniej powłoki statku powietrznego.

Darek w czasie polskiej zimy latał w Australii, gdzie pogoda była raczej stabilna. Czasem wpadał tam w krzewy lub pogonił kangura. U nas w grę wchodziły zderzenia z drzewami, stodołami, zawiśnięcie na drutach wysokiego napięcia. Na Mazurach starał się wyrobić podobne statystyki lotów jak na antypodach i trzeba było huraganu, żeby go powstrzymać. Latał naprawdę nieźle, startował z różnych dziwnych miejsc i lądował w takich warunkach, że pasażerom włączały się alarmy w bajpasach. Ogólnie było wesoło, może oprócz jednego lądowania, kiedy przemiła Helga, wysiadając, zauważyła, że jej noga się zgina nie w kolanie, lecz w kości piszczelowej. Ale co tam – wszyscy

podpisali się na gipsie i było OK. A parę miesięcy później, kiedy zdjęła gips, przysłała mi zdjęcie, na którym z triumfem trzyma go w ręku.

Innym razem zakończyliśmy lot na rżysku i szybko zwinęliśmy balon. Gdy wszyscy byli już gotowi do odjazdu, Hans wystąpił z informacją, że zgubił rolkę filmu ze zdjęciami z lotu i dopóki zguba się nie odnajdzie, nie zamierza wracać do hotelu. Zapadała noc, robiło się zimno i głodno, ludzie czekali, a ten biegał jak opętany po polu i szukał. Wreszcie skrzyknąłem gromadkę dzieciaków z pobliskiej wioski i puściłem maluchy tyralierą. W moment jeden z chłopców znalazł zgubę. Hans z gestem wypłacił Jasiowi fortunę jak na tamte warunki, całe pięćdziesiąt złotych. Okazało się ponadto, że chłopiec ma urodziny i mama małego zaprosiła naszą grupę, jak również całą wioskę, na przyjęcie.

Od czasu do czasu pojawiali się także niemieccy wysiedleńcy, którzy pod pretekstem wycieczki przyjeżdżali odnaleźć gospodarstwa, domy, w których się wychowali. Pilot musiał szybko, taktownie i z wyczuciem odnaleźć się w tak nietypowej sytuacji. Ponieważ niektórzy z nich nie akceptowali polskich nazw miejscowości, na wszelki wypadek znaliśmy również dawne nazwy wszystkich wiosek i miasteczek, co nie przeszkadzało nam obstawać przy swoim.

Cokolwiek myśleli w kwestiach „politycznej i historycznej poprawności”, ujmowało nas to, jak zachwycają się każdym drzewem, każdym promykiem słońca, każdą leśną ścieżką i parą zakochanych dżdżownic. Nadal jakąś część należeli do Mazur, wręcz czcili miejsca swego dzieciństwa. Kiedy stawali przed rodzinnym domem, pojawiały się łzy, dotykali jego murów. Często też wchodzili w obejścia, do domów, zapraszani przez zaciekawionych taką wizytą współczesnych gospodarzy. Również dla pilota były to chwile podniosłe i sentymentalne.

Pewnego razu przyjechała kobieta z dwoma zdjęciami satelitarnymi domu swojego dzieciństwa. Syn pracujący w niemieckim instytucie wojskowym miał dostęp do takich materiałów. A było to przecież kilka lat przed stworzeniem

Google Earth. Pokazała taksówkarzowi fotografie i opisała w przybliżeniu okolicę. Jeździli cały dzień, porównując zdjęcia z realem. Wreszcie znaleźli. Były łzy, radość, nostalgia i trochę gniewu, jak to historia układa ludzkie życiorysy. Gospodarze zaprosili do środka. Okazało się przy tym, że wychowywali się w sąsiednim domu.

Wspólne odnajdywanie miejsc ledwie pamiętanych z dzieciństwa, wsi o zmienionych nazwach i dawno nieistniejących gospodarstw stawało się dla grupy grą w poszukiwanie skarbów. Czasami, ku wielkiej radości całego zespołu, odnosiliśmy sukces.

Współcześni polscy gospodarze zazwyczaj pozwalali wejść na podwórko, bywało, że zapraszali do domów, częstowali herbatą i z ciekawością słuchali wspomnień. Wielu autochtonów wracało jednak nie tylko po wspomnienia, lecz także po rodzinne skarby ukryte w murach chat. Przyjezdni prosili, by jeszcze raz w życiu pozwolić im na nocleg w pokoju, który przed laty był ich sypialnią. Rano nie było śladu po gościach, a jedynie wydłubana w ścianie dziura.

Miejscowa ludność zazwyczaj bywała życzliwa i gościnna, ale zdarzały się wyjątki. Za ironię losu można uznać przypadek, kiedy to w Gierłozy młodociani bandyci, za historyczne krzywdy wyrządzone przez Niemców, pobili Bogu ducha winnego Szwajcara (!). Szwajcar, szczęściem nie z mojej grupy (choć to dla niego żadna pociecha), wyglądał im na Niemca, a że to były bunkry Hitlera, nadarzyła się dobra okazja spuścić szwabowi manto. Gość ponadto miał implant nogi, więc czuł potrójną niesprawiedliwość powstałej sytuacji. Objany, krzyczał po niemiecku: „Ich bin kein Deutsche<sup>12</sup>”, a młodzi lingwiści odpowiadali po polsku, że to za Hitlera. Tłumaczenie, że jest Szwajcarem, prawdopodobnie wykraczało poza zaawansowanie językowe bandziorów albo też było im wszystko jedno, kogo leją, byleby sprawiedliwości dziejowej stało się zadość. Szwajcar naprawdę się wkurzył. Początkowo zamierzał

---

<sup>12</sup> „Nie jestem Niemcem”.

skontaktować się z konsulatem, ale jakoś dało się go przekonać, by rozstrzygnąć sprawę lokalnie. Ponieważ pilot nie mógł jakoś tego wieczoru zostawić grupy, poszkodowany udał się na komisariat w towarzystwie kolegi, aktora z teatru pantomimy. I dobrze, bowiem okazało się, że jedynym wspólnym językiem, w którym mogli się porozumieć z miejscową policją, był właśnie język ciała. Mim rozpoczął więc dramatyczną opowieść o wydarzeniach w Wilczym Szańcu, używając profesjonalnych środków wyrazu – machał rękami, czołgał się i kopał, zaś by wyrazić rozpacz i ekspresję, otwierał buzię niczym żywcem wyjęty w obrazu Edvarda Muncha.

Szwajcar z nadzieją patrzył na zdziwionych policjantów, którzy później relacjonowali to wydarzenie pilotowi. W pewnym momencie zebrało się już pół komisariatu i nagle coś puściło – przedstawiciele organu sprawiedliwości jak jeden zaczęli tarzać się po podłodze ze śmiechu. Nie była to już pantomima, lecz katastrofa. Przynajmniej z punktu widzenia Szwajcara. Nie dość, że został pobity i okradziony przez bandytów, to jeszcze wyśmiała go policja. Chyba kolejnym punktem ciągu zdarzeń był faktycznie konsulat...

Historia o niefortunnych przygodach Szwajcara krąży do dziś jako jedna z wielu mazurskich anegdot. Mieliśmy z Maćkiem również własne, z grupy na grupę coraz bardziej odjechane. Kiedy chcieliśmy ludzi czymś zająć, Artur, właściciel pewnego pensjonatu, przynosił kilka złotych dukatów. Dopowiadał do nich historię, jak to poprzednia grupa wykopała na pobliskim polu cały garnek takich monet. Nikt w to oczywiście nie wierzył, ale wkrótce pole usiane było buchtującymi Niemcami. Do przekopania mieli kilka hektarów, więc najwytrwalsi ciągnęli poszukiwania aż do zmroku. Oczywiście bez sukcesu, więc dla zmylenia przeciwnika opowiadali przy ognisku, jakie to piękne kwiaty i motyle oglądali. Mieliśmy w tym czasie z Arturem wolne, siedzieliśmy więc na ganku, obserwując poszukiwaczy. Bardziej zaawansowanym grupom sprzedawaliśmy historię o zagubionym pierścionku z diamentem. Wówczas

poszukiwania były jeszcze intensywniejsze, a przy tym ludzie patrzyli sobie na ręce, czy aby ktoś nie zwinie klejnotu.

Naszycy goście z zachodu zawsze interesowało życie sąsiedzkie. Byli przekonani, że również u nas sąsiedzi wspierają się wzajemnie w trudnych chwilach, a czas na mazurskiej wsi upływa jak w wielkiej, miłującej się rodzinie. Nie do końca było to prawdą. Słynne spory właścicieli łódek na Krutyni, walki o klientów i wzajemne obgadywanie lokalnych stosunków było na porządku dziennym. Woleliśmy jednak pokazywać niemieckim turystom świat pełen harmonii, przyjaźni i zrozumienia. Co złe, staraliśmy się zamieść pod dywan, pozostawiając gości w sielskim błogostanie mazurskich okoliczności przyrody.

Czasem jednak, dla smaczku i podniesienia emocji, serwowaliśmy pouczające przypowieści, jak ta o dwóch rodzinach spod Mrągowa. Mieszkały sobie w bliźniaku, bez płotu, wiodąc przykładowe sąsiedzkie życie. Pewnym punktem zapalnym były jednak psy. Duży i mały. Duży dokuczał małemu, podgryzał go, nierzadko raniąc. Właściciele malucha czynili tym samym właścicielom wielkiego wyrzuty. Proponowali zamknięcie potwora w budzie, zanim skrzywdzi słodkie maleństwo. I tak czas płynął. Kolejnego lata właściciele małego psa postanowili spędzić tygodniowe wakacje w Egipcie. Jakoś o opiece nad pupilem nie napomknęli ani słowa... Ledwie wylecieli, zdarzyło się nieszczęście. Gospodyni, ta od dużego, wyszła przed dom i zamarła ze zgrozy. Jej wielki kundel ciągnął po ziemi zwłoki swego małego, rachitycznego sąsiada. Budowane latami relacje sąsiedzkie miały nieodwołalnie lec na gruzach. Gospodyni założyła więc gumowe rękawice, wykąpała małego, wysuszyła i ładnie ułożyła w budzie, zakładając łapkę na łapkę, jakby sobie spał. Gdy po kilku dniach opaleni na heban sąsiedzi powrócili do domu, już od bramy podnieśli krzyk. Współsprawczyni mordy wypadła przed sień i z udawaną

troską zapytała, co się stało? Jak to, co się stało? Dzień przed wyjazdem mały rozstał się ze światem. Zasmuceni, pochowali zwłoki w bzach za domem. Wracają, a tu ich biedactwo, czyściutkie, acz lekko nieświeże, leży sobie w budzie...

Niemców mazurskie historie przerażały, więc musieliśmy je dawkować z wielkim wyczuciem. Czasem wbrew naszym intencjom i zamiarom ich wiarę w sielankowe życie mazurskiej wsi łamali sami mieszkańcy, często mający do swej pięknej ziemi i nieskazitelnej przyrody stosunek daleko odbiegający od wyobrażeń przybyszów z zachodniej, proekologicznej Europy. Ot, chociażby historia, która przydarzyła się w jednym z najpiękniej położonych pensjonatów. O zachodzie słońca nasi goście tłumnie zachwycali się schodzącymi z paśników sarenkami, szalejącymi wręcz w koronach starych dębów ptakami czy lotem bocianów wracających do gniazd. Fotografowali ten niezwykle świat, chcąc zatrzymać obrazy i wzruszenia chociaż do następnego roku.

Wieczorem przy ognisku Artur, emerytowany muzyk z orkiestry wojskowej, budował nastrój grą na akordeonie i dźwięcznym tenorem. A głos miał taki, że drzewa przewracał i robił fale na jeziorze. Niemcy zachodzili w głowy, skąd tak wytrawny muzyk tu, na wsi, przy ognisku, dla nich... We wspaniałej harmonii z naturą... Nierzadko w grupie objawiał się pomniejszy wirtuoz. Wyciągał harmonijkę czy klarnet i mieliśmy ogniskowy jam, grający do późna w nocy. Głęboki dysonans poznawczy nastąpił rankiem, gdy jeszcze nie otrząsnąwszy się do końca z wrażeń poprzedniego dnia, wyruszyliśmy na kolejny etap naszych mazurskich peregrynacji. I gdy przejechaliśmy pierwszy kilometr, z gąszcza wypadł na drogę nasz etniczny grajek przebrany za las, zamotany w siatkę maskującą i z tryumfem wymachujący zwłokami pomordowanych zwierzątek. Być może tych samych, które poprzedniego wieczora budziły zachwyty i wzruszenie naszych niemieckich gości. Na nasz widok zaczął

zamaszyście gestykulować z intencją pozdrowienia. Z daleka jednakże jego machanie strzelbą odczytywane zostało raczej jako ostrzeżenie: zaraz was tu wszystkich powystrzelam. Od tej chwili jego artystyczna twarz z poprzedniego wieczora została na zawsze skryta pod militarnym płaszczem leśnego mordercy. Tyle pożytku, że po powrocie z trasy nikt z grupy nie ośmielił się samodzielnie wyjść z pensjonatu. Bali się, że grajek-myśliwy mógłby kogoś przypadkiem stuknąć ze sztucera.

Grajek-morderca stanowił dopiero przedsmak psychodelicznego thrillera, za jaki niektórzy spośród niemieckich gości uważali pobyt w pensjonacie o niewinnej nazwie Mateuszek. W obejściu mieszkały dwa amstafy. Z punktu widzenia właściciela zapewniały nam bezpieczeństwo. Jednak po zmroku, kiedy hasały na swobodzie, najbezpieczniej było nie wychodzić za próg. Psy lubiły czasem upolować jakiegoś bobra i witały gości, wesoło merdając ogonami, z mordami ociekającymi jeszcze świeżą krwią. Po jednym z takich incydentów przeczytaliśmy w opiniach o hotelu, że właściciel hoduje Kampfhunde, czyli psy do walki. Autor nie dodał, że z bobrami. Tu grajek-morderca, a tu krwiożercze amstafy. Goście wręcz szaleli z przerażenia. Sposób na traumatyczne przeżycia był tylko jeden – należało polać kielicha i rozkręcić zabawę, zanim grupa zaczęła za dużo gadać. I tak: amstaf przyniósł bobra – po kieliszku dla wszystkich, grajek pojawił się z okrwawionym zajęcem – po kielichu, pada deszcz – po kolejnym. Trasa okazała się zbyt męcząca – no to również po kieliszku. Obeznani kulturowo Niemcy z powagą traktowali polskie rytuały.

Czasem, nie ukrywajmy, trzeba było mocniej polać. Nasi goście, jak wiemy, mieli fisia na punkcie bocianów. W Niemczech zostało ich już niewiele, a u nas, w jednym takim Żywkowie – setki. Pięknie było obserwować życie rodzinne w wielkich gniazdach, naukę latania bocianie młodzieży, polowania na żaby, a pod koniec sezonu podniebne spotkania dziesiątek tych stworzeń przed odlotem do Afryki. Obecność wspaniałych ptaków była dowodem na czystość, wręcz

nieskazitelność mazurskiej natury. Ta jednak ma swoje plusy i minusy. Minusem jest to, że śmierć może zdarzyć się codziennie. Pewnego słonecznego dnia grupa obserwowała te piękne okoliczności przyrody, ze szczególną koncentracją na bocianach. Wtem jeden z nich, widocznie zmęczony, oderwał się od stada i usiadł na drutach wysokiego napięcia. Za moment, porażony prądem, spadł martwy na Mateuszkową łąkę. Ptakiem natychmiast zajęły amstafy, radośnie rzucając się na zwłoki. Niemcy nie mogli jakoś pogodzić się z utratą boćka uśmierconego przez złowrogą cywilizację. Jeden z gości zdecydował się interweniować, pozostali ruszyli za nim. Usiłowali wyrywać ptaka z paszczy potężnego psa. Ten się zdziwił, bo przecież bobrów nikt mu nigdy z pyska nie wyrywał. Uznał jednak, że to taka zabawa i mocniej szarpnął zdobycz, przez co rywale zostali z ptasimi nogami w rękach. Cóż, incydent nie odbił się zbyt mocno na urodzie mazurskiej przyrody. Żaby kumkały radośnie w trzcinach, zadowolone psy ucięły sobie drzemkę, a bociany krążyły, zmawiając się na lot do Afryki, gdzie nie ma amstafów. Jedynie Niemcy gorzko przeżywali swe wielkie rozczarowanie.

Co jakiś czas trafiał nam się gość, który samą swoją obecnością zapewniał rozrywkę całej grupie. Takim przykładem był Lutz, z przekonania hrabia. Na arystokratę wprawdzie nie wyglądał ani nie zachowywał się w adekwatny do pochodzenia sposób, więc aby zbudować sobie odpowiednią pozycję w grupie, musiał nadrabiać niedoskonałości opowiadaniem historii z arystokratycznego życia.

Całe wieczory, stojąc na stole i gestykułując zamaszycie, opowiadał o polowaniach na dzikie zwierza w Afryce i połowach wielkich merlinów w oceanie. Nieczęsto udawało się dojść do głosu komukolwiek z uczestników spektaklu. Lutz opowiadał więc o swoim zamku i o jachtach, o prywatnej wyspie, siedmiu żonach oraz innych przywilejach wynikających z posiadania rodowodu i fortuny. Siadając do posiłku, zawsze zajmował najgodniejsze,

najbardziej eksponowane miejsce. Spóźniwszy się, do czego miał niezbywalne prawo, nie rezygnował z należnego przywileju wyboru fotela u szczytu stołu. Lutz zdominował grupę niestworzonymi opowieściami o swych wyczynach. Na rowerze zaś umierał z wycieńczenia już po paru kilometrach, więc nieustannie wyszukiwał pretekstów, aby jeździć samochodem z kierowcą, który woził bagaże i przygotowywał po drodze piknik dla grupy.

Kierowcy nie znosili marudnych pasażerów, gdyż mieli co robić i bez nich, a tymczasem „hrabia” jęczał za trzech. Za którymś razem kierowca i pilot się zmówili. Słońce grzało tego dnia niemiłosiernie, skwar wręcz wypalał oczy.

Kierowca pojechał przed grupą, by na czas przygotować piknik na łące.

Towarzyszył mu Lutz, który tego dnia akurat miał hrabiowską migrenę. Jarek, kierowca, postawił samochód pośrodku nasłonecznionej polany, zabrał kluczyki i zostawił pasażera na dwie godziny bez łyka wody. „Hrabia” się smażył, cierpiał i ewidentnie miał jakieś przemyślenia, bo wieczorem usiadł grzecznie na pierwszym z brzegu wolnym miejscu, nie walcząc już z nikim o przywileje. Uśmiechał się miło do towarzyszy wyprawy i cieszył każdą łyżką zupy.

Umiejętność przystosowania się do najtrudniejszych warunków jest ponoć charakterystyczna dla arystokratów.

Biuro, w którym pracowałem, miało do swych pilotów duże zaufanie i puszczało nas na żywioł. Był co prawda program, otrzymywany również przez klientów i hotele, w których należało zjeść kolację i przenocować, ale to nam pozostawiano dobór trasy, miejsc na piknik czy kąpielisk oraz zaplanowanie atrakcji. Dzięki niemal pełnej swobodzie mogliśmy dopasować się do grupy, jej możliwości i potrzeb, urozmaicać podróż i wypełniać ją niespodziankami.

Ceniłem to sobie ogromnie, mając świadomość, że inne biura za wszelką cenę usiłowały standaryzować poziom i przebieg wyjazdów, rozdając swoim pilotom kilkusetstronicowe książki z opisami atrakcji i rozpisaną niezwykle szczegółowo agendą imprezy.

Wyglądało to dosłownie tak:

Program wyjazdu, dzień 1:

8:00 pilot wstaje.

8:10 Pilot myje zęby (bo niektórzy nie myli)

8:15 Pilot ubiera się i schodzi na śniadanie.

8:55 Pilot na śniadaniu uśmiecha się i mówi dzień dobry wszystkim gościom.

9:30 Pilot sprawdza powietrze w oponach, dopasowuje siodełka i pokazuje trasę na mapie.

Dalej było dokładnie wyłożone, w jakim punkcie pilot ma się zatrzymać z grupą i co ma powiedzieć. Tekst przemówienia oczywiście był dokładnie zapisany w programie i jego treści powinien się nauczyć na pamięć. Jednocześnie pilot, kierowca, podstawieni turyści, właściciele hoteli, restauracji i przewodnicy – wszyscy mieli donosić na wszystkich. Cała sieć tabelek, ankiet i opinii miała za zadanie ujednolicić i precyzyjnie kontrolować przebieg wydarzeń. Prawdziwy kłopot zaczynał się dopiero w przypadku sytuacji tak dalece nieprzewidzianej, że w roadbooku nie było podanych konkretnych rozwiązań.

Dodatkowo, piloci tegoż biura mieli podczas wyjazdu zorganizować urodziny pilota lub kierowcy. Dowolność polegała na tym, że w grę wchodziły także imieniny. Tak więc wyznaczonego dnia ogłaszano takie urodziny lub imieniny, pilot kupował flaszkę i grupa się integrowała. Doskonała machina. Gorzej, gdy ktoś po raz kolejny podróżował w innym czasie z tym samym biurem. Słyszając o urodzinach, łapał za kieliszek, przyłączając się do chóru fałszującego „sto lat”. Wiedział, że to zabawne, ale cieszył się z darmowych drinków. Biuro osiągnęło odpowiedni standard i sukces finansowy, bo niemieccy partnerzy chętnie kupowali powtarzalność. Piloci mieli za to krótką smycz i ogromny stres. Do dziś niektóre biura próbują wyrażać swój profesjonalizm w nieprzystających do rzeczywistości regułkach. Mateusz, pilot z dwudziestoletnim stażem, który

odwiedził już chyba wszystkie możliwe miejsca na świecie, otrzymał kiedyś zadanie, by kłaniać się w pas gościom, kiedy schodzą na hotelowe śniadanie. Gdyby był Japończykiem, od razu by wiedział, który ukłon (określany w stopniach nachylenia) wybrać...

Dobry pilot powinien być chodzącą intuicją, wiedzieć po prostu, kiedy jak się zachować. Mieć to we krwi. Podczas mazurskich wycieczek staraliśmy się ujmować naszych klientów naturalnością i spontanicznością przy realizacji programu. Stwarzaliśmy ponadto wrażenie, że są szczególnymi gośćmi, niepowtarzalnymi, a asfalt pod kołami rowerów został specjalnie rozwinięty na ich przyjazd. Wspólnie szukaliśmy nowych tras z dala od głównych szlaków, zaglądaliśmy do domów mieszkańców wiosek, wynajdywaliśmy dzikie miejsca do kąpieli. Traktowaliśmy ich jak paczkę dobrych znajomych, z którymi miło spędzamy czas. Usiłowaliśmy być buforem między szukającym prawdziwego świata turystą a turystyczną manufakturą, powtarzalnością, które pojawiały się wszędzie tam, gdzie liczba klientów i tym samym pieniędzy przekraczały wartość krytyczną.

Roboty w sezonie nie brakowało. Mieliśmy po kilkanaście grup, jedną po drugiej, czyli jazda na rowerze niemal bez przerwy, często sporo ponad tysiąc kilometrów miesięcznie. Nie nauczyłem się jeszcze imion jednego zespołu, a już trzeba było zaczynać od nowa. Czasem w kolejnej grupie szukałem kogoś, kto wyjechał dwa turnusy temu, bo pamiętałem charakterystyczną czerwoną kurtkę, której mi jakoś brakowało. Faktycznie zestaw osobowości w każdej wycieczce jest podobny. Ktoś się gubi, ktoś opowiada żarty, ktoś narzeka, inny próbuje przewodzić (choć ta funkcja była zarezerwowana). Zmieniają się imiona i twarze, układ ról pozostaje niezmienny. Najmocniej jednak przyzwyczajałem się do funkcjonowania w zespole i myślenia o potrzebach moich gości, często tracąc poczucie własnych. Pod koniec sezonu było już tak, że nawet gdy

jechałem na rowerze sam, czułem za sobą oddech moich niemieckich druhów i co rusz oglądałem się za siebie, sprawdzając, czy ich nie pogubiłem.

Prowadzenie kolejnych zespołów tymi samymi trasami z czasem stawało się monotonne. Zbyt wiele było jasne, oczywiste, spodziewane. Wiedzieliśmy już dokładnie, na którym metrze trasy goście zadadzą pytanie i jakie, co ich zaciekawia, gdzie będą chcieli zrobić przerwę, w którym miejscu jest zwykle wielka kałuża czy wyskoczy ujadający pies. Potrafiliśmy jechać tak, między chmurami, żeby na naszych podopiecznych nie spadła kropka deszczu. Nie wierzycie? Serio! Popadaliśmy w rutynę, a to zawsze jest dla mnie w życiu znak, że coś należy zmienić.

Sięgając dziś do wspomnień, myślę o pierwszych krokach w pilotażu z wielkim sentymentem. Dzięki wakacyjnej pracy z niemieckimi turystami stać mnie było na podróżowanie po świecie. Sama praca była również pięknym okresem życia, pełnym ruchu i dobrego jedzenia, wśród przyrody i serdecznych ludzi. To jedno z najpiękniejszych zajęć, jakie mogłem sobie wówczas wymarzyć. Do tego nauczyłem się wiele o Polsce, przekazałem jej piękno setkom, a może i tysiącom obcokrajowców. W ten sposób sam utrwaliłem własne korzenie, wrosłem w tę ziemię na tyle mocno, by krążyć po świecie z poczuciem, że mam na bożym świecie swoje własne miejsce.

Po doświadczeniach z Polski mogłem rozpocząć pracę pilota wycieczek zagranicznych. Miałem już wówczas bagaż doświadczeń wynikających z backpackerskich podróży do Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Przyszedł czas na spełnienie marzeń z dzieciństwa: wyruszyć na czele wyprawy za granicę!

W czasie, kiedy zdobywałem pierwsze szlify, ćwicząc na żywych organizmach niestrudzonych Niemców, polska turystyka wyjazdowa nabierała rozpędu. Byłem gotów i pełen nadziei, że na tym rynku znajdzie się dla mnie miejsce.